

# Z Y C I E

## PRZEMYSKIE

NR 3 (533)

ROK XII

18 STYCZNIA 1978 r.

CENA 2 ZŁOTE

# BOGACTWO NASZEJ ZIEMI — LAS

Czym jest drewno dla gospodarki narodowej, a lasy dla ochrony naturalnego środowiska człowieka — powszechnie wiadomo. Wynikają stąd dla załogi naszego nadleśnictwa określone zadania. Pierwsze z nich to efektywniejsza produkcja szkółkarstwa na zalesienie. Zmodernizowaliśmy ją, odeszliśmy od starych schematów organizując szkółki scalone (23 ha) i stosując przy tym tunele foliowe. Na potrzeby zadrzewieniowe prowadzimy szkółkę o powierzchni 68 ha (drzewka i krzewy). Mamy tutaj wysoką nadprodukcję i możemy realizować dodatkowe zamówienia na sadzonki. Chciałbym przypomnieć, że hasło: „Zadrzewiajmy i upiększajmy nasz kraj” — nie straciło ze swej aktualności.

W rejonie naszego działania nie brakuje nieużytków,

Nasze zadania  
po II KRAJOWEJ  
KONFERENCJI  
PARTYJNEJ

halizn i tym podobnych gruntów, które stopniowo zalesiamy. W 1977 roku tego rodzaju roboty prowadziliśmy na powierzchni 420 ha, czeka na zagospodarowanie 580 ha. Są to tereny trudne, często zabagnione, wymagające specjalistycznych zabiegów przygotowawczych. Z tym zadaniem powinniśmy się uporać do końca 1980 roku. Dzięki te-

mu w rejonie Oleszyc lasy powiększą się o 1000 ha.

W ubiegłym roku pozyskaliśmy około 75 000 m sześć. drewna i 143 ton żywicy. Część uzysku (około 7 000 m sześć. grubizny i 5 000 m sześć. drobnicy) przekazaliśmy na zaopatrzenie bezpośrednich potrzeb ludności, przez co ułatwiliśmy zadanie gospodarstwu inwestującym w budowę obiektów inwentarskich i domów mieszkalnych, poprawiliśmy sytuację opałową na wsi.

Dalsza intensyfikacja gospodarki leśnej (bez uszczerbku dla jej zasobów) jest możliwa, lecz uwarunkowana budową nowych dróg prowadzących do trudno dostępnych kompleksów. Od 1972 roku wybudowaliśmy (w ramach inwestycji i funduszu leśnego) 52 km dróg, obecnie trwają prace na trzech odcinkach o łącznej długości 21 km. Ponadto partycypujemy w remontach dróg lokalnych w gminach Oleszyc, Stary Dzików i Lubaczów.

Oprócz lasów posiada nadleśnictwo we władaniu 470 ha użytków rolnych — są one na ogół słabiej zagospodarowane, niż nakazują nam potrzeby gospodarki żywnościowej kraju. Sytuacja ulegnie w bieżącym roku poprawie — odbierze się deputaty rolne tym pracownikom, którzy nie dbają o prawidłowe wykorzystanie ziemi i przekazuje ją w lepszą, gospodarniejszą rękę.

Wykorzystując rezerwy przeprowadzimy modernizację naszego obiektu magazynowo-inwentarskiego w Kopytkowie Dolnym i rozpoczniemy w nim też około 100 sztuk trzody chlewniej z przeznaczeniem na zaspokojenie potrzeb stołówek robotniczej. Nie będzie to pierwsze przedsięwzięcie na rzecz produkcji artykułów żywnościowych — w odnowionych stawach leśnych o pow. 24 ha w Korzenicy hodujemy karpie. Odlowiliśmy z nich około 6 ton ryb.

FELIKS ZACZEK  
nadleśniczy Nadleśnictwa  
Państwowego w Oleszycach



● Od 22 stycznia br. cykl atrakcyjnych koncertów  
● Organizatorzy: WRZZ, WDK i „ŻYCIE PRZEMYSKIE”

# STUDIO MUZYKI ZAPRASZA — WYBIERAMY PRZEBÓJ ROKU

Od czasu, gdy zakończono cieszącą się dużym powodzeniem „Przemyską Giełdę Piosenek”, zwolennicy muzyki rozrywkowej, narzekali na brak tego rodzaju lubianych, ciekawie przygotowanych imprez. W województwie przemyskim nadal działają liczne zespoły muzyczne, które jednak nie zawsze mają okazję występować przed szeroką publicznością, choć wiele z nich prezentuje dobry poziom i interesujący, własny repertuar.

Niedawno pisaliśmy o utworzeniu STUDIA MUZYKI, działającego przy Wojewódzkim Domu Kultury. Studio to postawiło sobie ambitny cel: popularyzację muzyki rozrywkowej, jazzowej i młodzieżowej. Odbywać się to będzie m. in. poprzez organizowanie różnego rodzaju koncertów, konfrontacji muzycznych, udzielanie fachowych porad, a także zapraszanie wybitnych instrumentalistów, którzy dla początkujących muzyków stanowią wzór do naśladowania.

Najciekawszą jednak inicjatywą jest zorganizowanie cyklicznych imprez pod hasłem: „STUDIO MUZYKI ZAPRASZA — WYBIERAMY PRZEBÓJ ROKU 1978”.

Na kolejnych koncertach, odbywanych w każdym miesiącu, występować będą zespoły i soliści z naszego województwa, prezentując po trzy utwory, oceniane przez publiczność na specjalnie przygotowanych kuponach. Uczestnicy imprez, którzy nie

będą mogli przygotować trzech własnych piosenek, mogą przedstawić inny repertuar, ale wówczas oceniane będą tylko aranżacja i wykonanie.

Pod koniec bieżącego roku sporządzona zostanie lista najlepszych utworów, wytypowanych przez publiczność na poszczególnych koncertach, z których w drodze plebiscytu ogłoszonego na łamach „ŻYCIA” — wybieramy PRZEBÓJ ROKU 1978.

Pierwsza impreza odbędzie się 22 stycznia o godzinie 11, w sali widowiskowej Wojewódzkiego Domu Kultury. W tym inauguracyjnym koncercie wystąpią:

- GRUPA INSTRUMENTALNO-WOKALNA „GONG” z Przeworskiego Domu Kultury,
- GRUPA WOKALNA „ARS NOVA” wraz z grupą muzyczną „FG”,
- ZESPÓŁ INSTRUMENTALNO-WOKALNY GOK w Zarzeczcu,
- GRUPA INSTRUMENTALNO-WOKALNA „FRI” z MOKO w Przemysku,
- ZESPÓŁ INSTRUMENTALNO-WOKALNY GOK w Łowcach.

Już pierwszy koncert zapowiada się więc interesująco. Dojdzie bowiem do konfrontacji zespołów o dość zróżnicowanych stylach i estradowym doświadczeniu. Wszyscy jednak zapowiadają, że przedstawią publiczności atrakcyjne konkursowe propozycje, nie ukrywając, że liczą na sukces i uznanie tak licznej grona jurorów.

Zainteresowanie ekiem imprez — których organizatorami jest Wojewódzka Rada Zawodowych, Wojewódzki Dom Kultury i redakcja „ŻYCIA PRZEMYSKIEGO” — jest bardzo duże, szczególnie wśród przemyskiej młodzieży. Niewątpliwie jednak publiczność tworzyć będą także sympatycy zespołów, które przyjadą z różnych miejscowości.

Radzimy więc pośpieszyć się z kupnem biletów, które nabyć można w cenie 10 złotych, codziennie w WDK.

Przypominamy: 22 stycznia, godz. 11, sala WDK: STUDIO MUZYKI ZAPRASZA — WYBIERAMY PRZEBÓJ ROKU 1978. (jm)



# POSIEDZENIE WKKP — OSTATNIE W KADENCJI

Odbyło się ostatnie w dwuletniej kadencji posiedzenie plenarne Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Przewodniczący WKKP Henryk Chlebowski przedstawił całokształt działalności Komisji. Pracowała ona w oparciu o statut partii, uchwały VII Zjazdu i Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej, zalecenia KC i CKKP. Główną uwagę koncentrowano na prawidłowym rozwoju szeregów partyjnych i ich składzie socjalnym, na przeciwdziałaniu niepożądanym zjawiskom społecznym. WKKP spieszyła z pomocą terenowym komisjom kontroli partyjnej, kontrolowała i analizowała pracę POP w zakresie realizacji uchwał własnych i instancji zwierzchnich, a m. in. w dziedzinie gospodarki żywnościowej, polityki kadrowej i stosunków międzyludzkich. W przypadkach drobnych uchybień przeprowadzano rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze, w poważniejszych — kierowano sprawy do zespołów orzekających WKKP, które wyciągały wnioski w stosunku do winnych.

Energiczna praca WKKP przyczyniła się do ukrócenia szkodliwej działalności poszczególnych osób lub grup. W Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej i komisjach terenowych pracowało 105 członków w wyborze oraz 82 towarzyszy z dużym doświadczeniem w tej dziedzinie działalności partyjnej.

W dyskusji podejmowano m. in. tematy nawiązujące do polepszenia pracy wychowawczej z kandydatami (wywiązywanie się z zadań partyjnych, troska o kandydata ze strony tego, który go rekomendował), równomiernego rozłożenia sił partii z akcentem na rozwój organizacji w handlu i budownictwie (J. Gierczak), roli i pracy organów kontroli (Janina Czech), udziału członków WKKP w życiu środowisk i oddziaływania na nie (A. Róg), dyscypliny zawodowej i roli komisji terenowych na przykładzie pracy MKKP w Przemyslu (R. Chudzio), doskonalenia pracy członków komisji (S. Dziedzic), orzeczeń zespołów, rozmów indywidualnych i ich korzystnego wpływu na zmianę postaw członków partii (H. Stawiarczyk).

Plenum przyjęło sprawozdanie WKKP za lata 1976—1977, wysunęło kilka wniosków organizacyjnych pod adresem przyszłej Komisji.

H. Chlebowski podziękował członkom WKKP za dotychczasową pracę.



## DLA UCZCZENIA II KRAJOWEJ KONFERENCJI PZPR

Wśród inicjatyw produkcyjno-społecznych, podejmowanych dla uczczenia II Krajowej Konferencji Partyjnej na czoło wybiły się zobowiązania dotyczące dodatkowej produkcji rynkowej. Tylko do końca roku 1977 w Przemysku zrealizowano je na wartość 61 milionów złotych. Zaangażowane były załogi kilkunastu przedsiębiorstw, m. in. Spółdzielni Inwalidów Niewidomych „Start”, która dała dodatkowe wyroby szrotkarskie oraz sznury przyłączeniowe do urządzeń elektromechanicznych gospodarstwa domowego o łącznej wartości 9 mln zł.

O pełnieniu miesięcy wcześniej w stosunku do terminu umownego, Jarosławskie Przedsiębiorstwo Budowlane przekazało do użytku osiedle przy ul. Rogozińskiego w Przemysku. O półtora miesiąca szybciej oddano również budynek nr 9 na osiedlu Konopnickiej w Przeworsku o 68 izbach. W dniach obrad Konferencji, Brygady Pracy Socjalistycznej zaciągnęły warty produkcyjne na 12 budowach.

## KSIAŻKA TELEFONICZNA KONIECZNIE POTRZEBNA

Od wprowadzenia nowego podziału administracyjnego kraju minęło już ponad 2,5 roku, a nie doczekaliśmy się jeszcze odpowiednio skorygowanej książki telefonicznej. Stwarza to wiele kłopotów zarówno interesantom, jak też samym urzędom i instytucjom. Wydaje się, że czas najwyższy, aby resort telekomunikacji wypełnił w tym względzie ciążący na nim obowiązek. Jeżeli nie udało się dokonać tego dotąd w skali ogólnokrajowej, może WUT pokusić się przynajmniej o wydanie rejestru aktualnych numerów telefonów dla naszego regionu?

## MILICJANCI HONOROWYMI KRWIODAWCAMI

Funkcjonariuszy Inspektoratu Drogowego i Służby Prewencyjnej Komendy Wojewódzkiej MO w Przemysku znamy najczęściej od strony ich pracy zawodowej, a więc gdy kontrolują ruch drogowy, interweniują w wypadkach, chronią nasze mienie i życie, słowem — dbają o bezpieczeństwo i porządek. Ale nie tu kończy się zazwyczaj ich działalność dla społeczeństwa, otóż wielu z nich należy do grona honorowych dawców krwi.

Kilkunastu milicjantów, a to: S. Calusiński, H. Gawron, K. Gibala, Z. Grzegorzak, E. Kudelski, L. Lewkiewicz, J. Lis, P. Skiba, J. Szlanda, M. Szynał, K. Gamracy, J. Szular i J. Dołęga — stanowili pierwszą grupę przemyslan, którzy w tym roku oddali honorowo 3 600 mililitrów krwi. Uratuje ona niejedno ludzkie życie.

Niektórzy z wymienionych są honorowymi dawcami od wielu lat. I tak np. Jan Szular i Mieczysław Szynał oddali po 3 000 mililitrów, Henryk Gawron — 2 340 ml, Eugeniusz Kudelski — 2 050, zdarzały się przypadki, że oddawali oni krew na miejscu tragicznych wypadków.



Grupa milicjantów — honorowych dawców po oddaniu krwi w przemyskiej stacji krwiodawstwa.

Fot. T. ZIEMBOLEWSKA

## NIKT NIE PRZEGRZA W TOTKA

W br. wprowadzono nowe zasady podziału nadwyżek z wpływów uzyskiwanych przez PP „Totalizator Sportowy”. Nadwyżki, które zostaną osiągnięte na terenie naszego województwa, będą obecnie w całości przeznaczone na remonty, konserwację sprzętu i urządzeń sportowych oraz finansowanie merytorycznej działalności sportu masowego i kwalifikowanego w Przemysku.

Ze względu na stan bazy sportowej oraz potrzebę podnoszenia poziomu sportu w naszym regionie, udział w grach Totalizatora jest równocześnie świadczeniem na szlachetny cel.

Tak więc nikt teraz nie przegrywa już w totka...

## RADZIECKIE URZĄDZENIA DLA HUTY „KATOWICE”

W największym w kraju „suchym porcie” Żurawica-Medyka-Boguszów systematycznie przyjmowane są kolejne partie radzieckich urządzeń, przeznaczonych dla dalszej rozbudowy huty „Katowice”.

W br. największą przesyłką była potężnych rozmiarów suwnica, umieszczona na trzech wagonach, licząca ok. 25 metrów długości. Z Medyki przetransportowano ją do Żurawicy, gdzie została przeładowana przy pomocy specjalnego dźwigu, a następnie w pierwszej kolejności wyekspediowana w kierunku Strzemieszyc.

Kolejarze i dokerzy portu lądowego utrzymują także wysokie tempo przeladunku surowców importowanych ze Związku Radzieckiego, głównie aglorudy, surowki martenowskiej i koncentratu żelaza, przeznaczonych dla przedsiębiorstw polskiego przemysłu hutniczego.

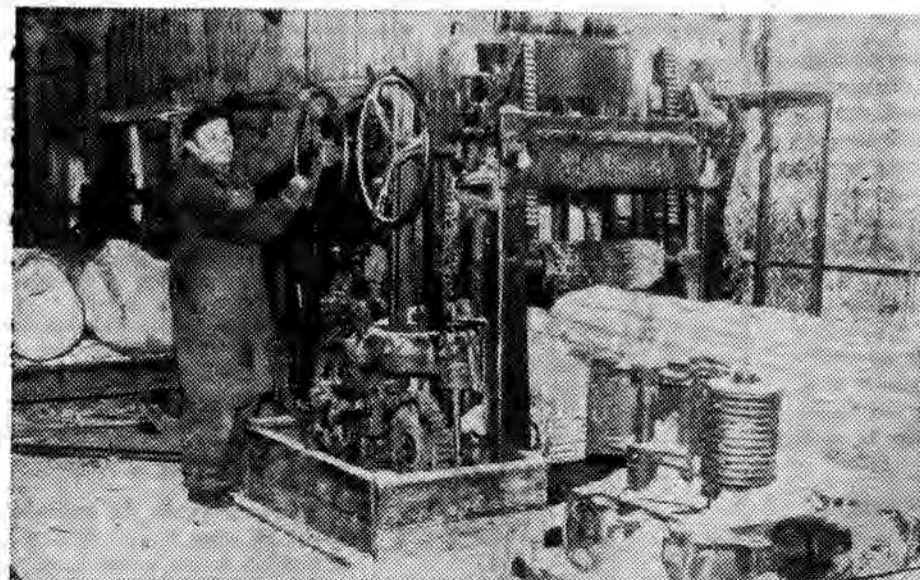
## W TARTAKU

Zakłady Przemysłu Drzewnego w Przemysku — dawny Tartak Nr 2, to obiekt niewielki, lecz zasłużony dla miasta i wysłużony jednocześnie. Oparł się wielu zakusom likwidacyjnym, pozostał i dobrze służy miastu i gospodarce.

Robota tu ciężka — cały dzień na powietrzu, w słońcu, deszczu, mrozie, w koszuli lub dla odmiany w kufajce i nausznikach. Ale są tacy, którzy polubili ten zawód, pracują tu od dziesiątków lat. Zaliczają się do nich m. in.: Zdzisław Nadziak, Józef Kowalezyk, Antoni Augustyn (trakowi), Wiesław Andreńców, Stanisław Olender, Emil Wojdyło, Józef Dobosz i najstarszy ze wszystkich wiekiem i stażem pracy 74-letni Piotr Finik. Kierownik tartaku Aleksander Proskurnicki mówi o nim: — Jest na emeryturze, mógłby odpoczywać, a on — nie, pracuje, że proszę patrzeć, jeszcze innych ponagli, gdy trzeba.

Tartak jest dostawcą tarcicy dla przemysłu meblowego i na zaopatrzenie rynku (poprzez skład OPD), pewne ilości przekazuje także na eksport do Anglii, RFN, a nawet Algierii. Nie są to wielkości ogromne (plan na br. 1 500 m sześć. tarcicy jodli), ale też i zakład do kolosów nie należy.

Fot. T. ZIEMBOLEWSKA



# NA NICH BĘDZIEMY GŁOSOWAĆ



**TADEUSZ SOCHA** jest zecerem w Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy. W jarosławskiej drukarni, wchodzącej właśnie w 50 rok działalności, święci swój jubileusz: 35-lecie pracy jako mistrz czarnej sztuki. Zna ją go również uczniowie miejscowego liceum sztuk plastycznych, gdzie wykłada grafikę. Mimo iż wydawałoby się, że dzień ma szalenie wypełniony pracą zawodową i pedagogiczną, znajduje jeszcze czas na działalność społeczną, udzielając się m. in. w samorządzie mieszkańców. Zna ją go również jarosławianin jako długoletniego radnego.

— Radnym byłem już przez sześć kadencji. Zdążyłem poznać wszystkie komisje, więc mam niejako obraz całości spraw, którymi Rada żyje. Ostatnio pełniłem obowiązki przewodniczącego zespołu d.s. rolnych w ramach komisji gospodarki wiejskiej i rolnictwa. Okazuje się, że mamy w mieście całkiem przyzwoitą pod względem produkcji gminę. A wiadomo jak ważne są obecnie problemy gospodarki żywnościowej, więc trzeba to rolnictwo intensyfikować. Problematyka ta nie jest mi — wbrew pozorom — obca. Wykorzystuję doświadczenia nabyte jeszcze podczas pracy w powiatowej radzie, gdzie miałem związki z gminami.

**ANNA WIĄCEK** — pracownica rozdzielni Zakładu Nr 6 „Fanina” — Fabryki Pras Automatycznych „Ponar-Plasomat”. Do MRN w Przemysłu kandyduje po raz drugi. Dobrze wypełniała obowiązki radnego — doceniono to i Rada Państwa przyznała jej Srebrny Krzyż Zasługi.

W minionej kadencji działała w komisji zdrowia, ochrony środowiska i spraw społecznych.

— Sprawy, którymi zajmowała się komisja, znajdują się w kręgu moich zainteresowań od dawna. W latach 1944—1945 i 1948—1951 pracowałam w służbie zdrowia. Większość zagadnień znam więc od podszewki. Wprawdzie od tamtych czasów sporo się zmieniło, ale baza lokalowa placówek ochrony zdrowia w Przemysłu jest nadal taka sama, choć wymagania i potrzeby wzrosły. Było więc nad czym radzić (i będzie), aby sytuację poprawić. Wiele zależy od aktywności, a nawet uporu ludzi, którym powierza się rolę współgospodarzy miasta... Gdy wyborcy zaakceptują moją kandydaturę i wejdę znów do MRN, tymi sprawami chciałabym zajmować się nadal. No i innymi również — zakres obowiązków radnego jest przecież szeroki...

Anna Wiącek należy do znanych w „Faninie” społeczników — działa w Radzie Zakładowej, jest przewodniczącą komisji kobiet. Jest również członkiem WRZZ.



— Zgodnie z zainteresowaniami pracowałem w minionej kadencji, która była w moim przypadku trzecią z kolei, w Komisji rozwoju gospodarczego i zaopatrzenia ludności, będąc jej przewodniczącym. Na brak roboty nie mogłem narzekać. Mnóstwo czasu pochłaniały posiedzenia, dyżury, spotkania z wyborcami. Nie mogę też mówić o braku zadowolenia, jako że przynosił je każdy drobniaczek. To właśnie te drobne zwycięstwa składają się na skuteczność działania Rady, budują jej autorytet i dopingują do dalszego działania.

Problemów jest co niemiara. Temat — morze, to styl pracy handlu, funkcjonowanie placówek przemysłowych, kultura obsługi. Sprawy te wracały podczas spotkań konsultacyjnych z wyborcami. Pytano też m. in. o przyszłość ośrodka wypoczynkowego w Radawie, kiedy będziemy odbierać II program tv i o wiele innych spraw wykraczających niekiedy poza kompetencje Rady — powiedział STANISŁAW WOŁOWIEC, zastępca dyrektora d.s. ekonomicznych w Zakładach Przemysłu Cukierniczego „San”, przewodniczący zakładowego zespołu radnych, działacz samorządu mieszkańców w Jarosławiu.



**MIECZYŚLAW JANUSZ** — majster lokomotyw spalinyowych w Lokomotywowni Pozaklasowej w Żurawicy — był już radnym w poprzedniej kadencji. Pracował w komisji oświaty, kultury i sportu MRN w Przemysłu. Obecnie kandyduje po raz drugi. Gdy zostanie wybrany, chciałby nadal zajmować się tymi samymi sprawami. Uważa, że jego komisja ma jeszcze wiele do załatwienia. Znajdujemy się przecież

w okresie ostatecznych przygotowań do wprowadzenia w życie programu 10-letniej ogólnokształcącej szkoły powszechnej i objęcia opieką wychowawczą dzieci przedszkolnych. Daleki od rozwiązania jest również problem rewolucyjnej zabytkowej zabudowy Przemysłu. A sport (w tym małym, szkolnym, a także większym, wycynowym wydaniu) — czyż nie budzi kontrowersji i nie wymaga uzdrowienia? To, oczywiście, tylko wybrane zagadnienia z tych, które będą przedmiotem pracy członków komisji i całej nowej MRN.

Kandydat na radnego Mieczysław Janusz jest młodym człowiekiem. Liczy zaledwie 27 lat, ale dał się już poznać jako aktywny działacz społeczno-polityczny. Jest m. in. wiceprzewodniczącym Zarządu Zakładowego ZSMP i członkiem Egzekutywy KZ PZPR w Dyrekcji Rejonowej Kolei Państwowych. Swoje liczne obowiązki społeczne wykonuje z wielkim zaangażowaniem, lecz bez uszczerbku dla pracy zawodowej i życia rodzinnego (ma żonę i dziecko). Uważa, że dobrym radnym, dobrym społecznikiem, można być tylko wówczas, gdy jest się w środku szerokiego wachlarza spraw i problemów, których nie szczędzi nam codzienność.

## MAGISTER I SPÓŁKA

Tytuł na życzenie. Gdy żegnałam się z byłymi Kuratorskiego Ośrodka Pracy z Młodzieżą w Jarosławiu — padło pytanie, pod jakim tytułem napiszę o nich w „Życiu”. A ponieważ nie miałam go jeszcze, podpowiedziano mi: „Magister i spółka”. Może być? — Bo wie pani, nazywają mnie „Magister”, a moi koledzy stanowią „spółkę” — odezwał się jeden z chłopaków. — No to masz piątkę za tytuł!

Rozstaliśmy się w najlepszej komitywie, choć powitanie nie zapowiadało tak miłego końca. Gdy się wydało, że nie mam aparatu, miny zrzedły. — A czytać nie lubicie? — Odpowiedź dali wymijającą. — Na zdjęciu to od razu wszystko widać...

**SCHODZILI SIĘ NA RATY.** Jedni siedzieli już nad lekcjami, drudzy ze znużoną miną (bo nie wszystkim chce się przynosić książki, więc mówią, że nie mają nic zadane-go) podpierali się przy stolikach, czekając aż pani udostępni gry; inni dopiero wpadali do świetlicy, choć już była czwarta.

Krzysiek przyszedł z mamą. — Ojciec w szpitalu — usprawiedliwił spóźnienie. — No widzisz, tata w szpitalu, a ty nie chcesz wziąć sobie do serca nauki — perorowała pani Wołowska, aż spuścił zażenowany oczy i obiecał poprawę.

Mam zjawilo się więcej. Zwiedziały się, że będą paczki noworoczne i przyprowadzili dzieci, choć na co dzień nie chcą ich tu posyłać, bo niby krzywdą im się dzieje. — Nie, ja go tu nie zostawiam, dziecko dopiero po chorobie, potrzebuję je odżywić, w domu

ma jedzenia w bród, a tu chodzi głodne — podniesionym głosem rozprawiła jedna z „troskliwych” mamusi. Pani kurator grzecznie, acz stanowczo, poprosiła, by nie przeszkadzała w zajęciach. Wyszła ociągając się, zostawiając wszakże chłopca.

Trafiłam na dyżur kurator Teresy Wołoszyn. Spokojna, opanowana, nigdy nie podnosi głosu, ale wystarczy jedno wymowne spojrzenie, by uciszyć rozbrzykane towarzysztwo. Kuratorem sądowym jest od dziesięciu lat. Miała rok przerwy w pracy, ale jak tylko nadarzyła się okazja powrotu, skwapliwie skorzystała. Z zawodu jest nauczycielką w Szkole Podstawowej nr 5 w Jarosławiu. Bez dzieci nie wyobraża sobie życia, a szczególnie leżą jej na sercu nieletni. Obcuje z nimi nie tylko w Ośrodku, odwiedza także dom, rozpoznaje środowisko, w którym się wychowują.

— To nie one są winne, że są jakieś są. Odarto je z dzieciństwa, stawiając od razu przed problemami (i to jakimi) świata dorosłych. One inaczej myślą niż ich rówieśnicy. Łakną spokoju, ciepła rodzinnego, zrozumienia. Zdobyłam ich zaufanie, dlatego nie potrafiłabym, ot tak zwyczajnie, odejść... — wyznaje swoje credo.

W dzienniku zapisanych jest 24 chłopców. Frekwencja przedstawia się różnie: 9, 15 do 20 obecnych. — Mam tu dzieci przede wszystkim ze spraw karnych i opiekuńczych. W ubiegłym roku nawiązałam ponadto współpracę ze szkołami i z milicją. Ingerują oni w przypadkach, gdy zagrożone jest dobro dziecka. Sąd nie ma sankcji, by wyegzekwować frekwencję, stąd rozmowy z rodzicami i wychowawcami. Nasi kuratorzy działają na dwóch frontach, naprzykrzają się, choć nie zawsze skutecznie — informuje sędzia Eisenberger, do niedawna przewodniczący Wydziału dla Nieletnich w Sądzie Rejonowym w Jarosławiu, obecnie zaś przewodniczący Wydziału III Rodzinnego i Nieletnich w Sądzie Rejonowym w Przemysłu.

Jedną trzecią stanu ogólnego stanowią chłopcy z „szóstki”. — Jest ich tu ośmiu — objaśniła wicedyrektor Jolanta Wójcik, która akurat wizytowała zajęcia. — Przychodzimy tu często, by zobaczyć jak się zachowują, czy odrabiają lekcje. Zeby dojść do pożądanego efektów wychowawczych, musimy współdziałać...

Statystyki wykazują wysoką skuteczność pracy kuratorskich ośrodków. Na 35 podopiecznych uczęszczających do jarosławskiej placówki w okresie od roku 1973 do 1977, poprawy

nie wykazało tylko 2 nieletnich. Podobnie rzecz się miała w odniesieniu do ośrodka przemyskiego.

Inne pozytywy, to wyeliminowanie drugoroczności i wagarowania, wyraźna zmiana na korzyść w zachowaniu nieletnich, wdrożenie do systematycznej nauki, rozwijanie zainteresowań i umiejętności współpracy w grupie, wyrabianie nawyku dbałości o estetykę własną i otoczenie, wreszcie poszanowanie mienia społecznego i zainteresowanie pracą.

KURATORSKI OŚRODEK PRACY Z MŁODZIEŻĄ w Jarosławiu powstał m. in. z inicjatywy obecnej jego kierowniczki pani Janiny Wołoszkiej wiosną 1972 roku. Doświadczona kurator (staż od 1953 roku) od razu ubiegała się o samodzielny lokal. Niestety, jak dotąd — bezskutecznie. Ośrodek przytulił się do świetlicy Szkoły Podstawowej nr 11 przy ul. Kraszewskiego. Pozostaje tu po dziś dzień.

Ale wiadomo, że być gościem, to nie to samo co być gospodarzem. Zawsze jest pewne skrapowanie i — co tu dużo mówić — nie sposób rozwinąć skrzydeł. Nie można porządzić się jak we własnym domu, zrobić samemu jego wystrój i w ogóle. Z pewnością chłopcy lepiej by się czuli, gdyby mniej było zakazów stosowanych tu z konieczności.

— „Sprawili nam „Jarlan” stół pingpongowy. Trzymamy go w piwnicy, bo tu nie ma przecież miejsca. A jak by przyszli wszyscy chłopcy, to nie miałby się gdzie pomieścić. Tak jest ciasno...

Patronuje nam oficjalnie „Jarlan”, a dobrym wujaszkiem jest również „San”, który zawsze pamięta o noworocznych stodołkach. Dobrze układa się współpraca z Komendą Hufca ZHP i z Mu-

zeum. Harcerze zabierają nasze dzieci na zimowiska i akcje letnie, w komendzie oglądamy telewizję. Muzeum organizuje cykl odczytów popularnonaukowych oraz funduje nagrody w konkursie czytelnictwa. Zresztą jego pracownica, kurator Grażyna Szumigraj ma znakomite podejście do chłopaków, traktuje ich po kumpelsku, nie tracąc przy tym autorytetu.

Ma swój udział w resocjalizacji także liceum sztuk plastycznych. Uczniowie klas przedmaturalnych prowadzą zajęcia praktyczne, objaśniają, pokazują, co i jak rysować. To się podoba.

W czasie wolnym chodzą grupowo do kina. Komedie oglądaliby codziennie, podobnie jak co dzień mogliby schodzić do podziemi, bo spacer korytarzami położonymi kilka pięter pod miastem pozostawił ogrom wrażeń.

\* ♦ \*

Zajęcia z wolna zbliżyły się ku końcowi. Piotrek pięknie wyrecytował prawo Pascala, Marek nauczył się prawidłowo włączać grzałkę, Andrzej przeczytał kilka nowel wybranych Prusa, nawet „Magister” się ożywił, choć przykro mu było usłyszeć, że jako szef podpadł ostatnio w szkole...

A może nie tak się nazywali bohaterowie tego popołudnia. Nieważne.

Chłopcy zjedli przyniesioną z baru kolację. Wyznaczono czwórkę dyżurnych do zmywania. Reszta mogła się bawić.

To były ostatnie zajęcia w tygodniu. Przerwa do poniedziałku, kiedy to o 15.30 znów przyjdzie „Magister i spółka”. I będą przychodzić przez cztery kolejne popołudnia.

ALICJA BOGUSŁAWSKA

**SMIAŁE ZAMIERZENIA ŻEGLARZA Z PRZEMYSŁA**

PRZEMYSŁ PAP. Do niezwykłego wyczynu przygotowuje się mieszkaniec Przemysła, jachtowy kapitan żegluga wielkiej Henryk Jaskula. Zamierza on rozpocząć w br. samotny rejs dookoła świata bez zawijania do portów. Byłby to pierwszy tego rodzaju wyczyn w historii polskiego jachtingu. Do tej pory tylko trzech żeglarzy osiągnęli ten cel: Anglię — Robin Knox-Johnston (w latach 1968—69) i Chay Blyth (1970—71), oraz Francuz Bernard Moitessier (1968—69). Rejs kpt. Jaskuły będzie więc wydatzeniem na skalę światową i pierwszą tego rodzaju próbą, podjętą przez żeglarza krajów socjalistycznych.

Kierownictwo GKRFIT oraz Prezydium PZZ zatwierdziło już ten rejs, który według wstępnych ustaleń rozpocznie się w październiku br. w Las Palmas.

— Po wielu latach starań Twoje marzenia o wielkim rejsie przybrały wreszcie realną postać. Jak przygotowujesz się do tego wyczynu?

**HENRYK JASKULA:** — Nie przygotowuję się, po prostu jestem przygotowany od dawna. Idea rejsu dookoła świata solo non stop zrodziła się w mojej głowie przed kilkunastu laty, gdy jeszcze nikł takiego rejsu nie zrealizował. Było to po sukcesie Teligi na „Opty”, ale gruba przed startem Polaków w samotnych rejsach transatlantycznych i rejssem Baranowskiego na „Polonezie”. Doszedłem wtedy do wniosku, że jeśli zaplanowałem jakikolwiek z rejsów, które niejako wynikały z logicznej kolejności wyczynów polskiej bandery, zawsze ktoś mnie wyprzedzi. Wobec tego jako swój cel obrałem od razu samotny rejs dookoła świata bez zawijania do portów. Miałem już wtedy za sobą Horn i kawał Pacyfiku oraz trzymiesięczny przelot non stop przez Atlantyk, nie licząc dwóch krótszych, w sumie pięciomiesięcznych, rejsów na tym oceanie.

— Zdecydowały zatem doświadczenie i żeglarska praktyka.

**H. J.:** — Tak, praktyka sięgająca 1969 roku, kiedy to zacząłem żeglować jako kapitan. Za każdym razem wczuwałem się w swoją przyszłą rolę — sam z tym wszystkim co mnie otacza, sam w sztormach, sam z awariami. Z każdego rejsu stawałem się wynieść coś pod kątem moich dalekich planów. Na tydzień przed Hornem, płynąc na „Eurosie”, gdy Pacyfik zaczął szaleć, jeden z kolegów rzekł pelen trwogi: „Hornu trzeba się bać”. Zapytałem wtedy dwuznacznie: „Ktorego?”. Dla

mnie był to Horn, na który zśliśmy w szóstkę i ten, który po kilku latach przyjdzie mi opłynąć samemu.

Gdy zdobyliśmy już ten przykład i po dwóch miesiącach wyruszyliśmy z Buenos Aires, szukałem odpowiedzi na dwa następujące pytania: ile człowiek wypija dziennie wody i jak wygląda długotrwały, nieprzerwany pobyt w morzu? Rejs non stop Buenos Aires — Hel udzielił mi odpowiedzi na te pytania. Jednego z moich trzech załogantów mianowałem „oficeredem wodnym”. Z iście naukowej pedanterią zajmował się on zagadnieniami transportu wody i jej zużycia, sposobami łapania i uzdatniania deszczówki, rolą i zużyciem innych płynów, jak np. puszkowane soki itp. Odnośnie długotrwałego pobytu na morzu wyciągnąłem maksimum z tego rejsu — 90 dni bez portów. Wiem, że byłem okrutny dla swej załogi, lecz eksperyment ten był mi bezwzględnie konieczny. Pamiętam, że jeden z kolegów zamknął wtedy na dwa miesiące i obawiałem się, że postradał zmysły i cisnie się za burtę. Drugi o mało nie urządził mi buntu koło Dover, chcąc wymusić na mnie wejście do portu. Przyznam się, że ukryłem przed nim rakietnicę... Tylko jeden z tej trójki, najbardziej obciążony pracą, nie poddał się stresom. Dla mnie zaś te trzy miesiące non stop na oceanie stanowiły jedno z najcięższych przeżyć i najłatwiejszych psychicznie rejsów.

— Ważna jest na pewno także sprawność fizyczna...

**H. J.:** — Niewątpliwie, jest bardzo ważna, lecz nie siła decyduje o wszystkim. Nie uprawiam specjalnych ćwiczeń,

prócz zwykłej gimnastyki porannej, a od półtora roku staram się także, gdy pogoda sprzyja, odbyć 10 kilometrów marzobiegów.

— O wiedzę nautyczną nawet nie pytam, gdyż jest to podstawa tego rodzaju przedsięwzięcia.

**H. J.:** — Oczywiście, podobnie zresztą jak znajomość języków obcych (znam angielski, hiszpański i francuski) oraz wmiętności radiotelegraficznej, krótkofalarskiej i... kulinarnej.

— Sądze jednak, że przede wszystkim trzeba być niezwykle odpornym psychicznie. Aby znieść samotność przez około 300 dni w tak niezwykłych, ciężkich warunkach, człowiek musi chyba sam siebie wcześniej w jakiś sposób sprawdzić?

**H. J.:** — Znawcy mówią, że rzeczywiste najważniejszą w takim rejsie jest odporność psychiczna. Ale jeśli o mnie chodzi, to jest mi po prostu do brze na morzu, nie ogarniają mnie lęki ani nostalgia. Dawniej, przez długie lata, gdy w ciemną noc deszcz siekił po sztybach, a wiatr wylł za oknem, wyobrażałem sobie, że jestem sam na oceanie. W ten sposób przezwyciężyłem lękowe, przyzwyczajając się do tych warunków. Także w samotnej żegludze na Bałtyku, gdy jacht zaczął mi się napełniać wodą przez nierozpoznaną szparę, a mnie ręce odmlewały z wypompowywania, uparczywie zadawałem sobie pytanie: „Pójdziesz w rejs dookoła świata solo non stop?” Odpowiedź twierdząca w ciężkich i krytycznych chwila

O dziewiątej było już po operatywe u Starogo (sympatyczny synonim dyrektora naczelnego — AB). Temat, który omawiali — to aktywizacja społecznych organizacji działających w zakładzie oraz zdynamizowanie współzawodnictwa pracy.

„Płyty” wchodzi właśnie w piętnasty rok działalności produkcyjnej. Nic zatem dziwnego, że mają ambicje wybić się w Zjednoczeniu przy okazji tegoż jubileuszu. A że wyniki zależą od ludzi — powołano Klub Mistrza, by zmobilizować średni nadzór do operatywniejszego działania bezpośrednio tam przy maszynie, na stanowisku pracy.

— Chodzi o właściwe przygotowanie i nadzorowanie produkcji, o podnoszenie kwalifikacji i kultury pracy, o doskonalenie stosunków międzyludzkich, a więc o zgranie tych wszystkich czynników, które rzutują na ostateczny wynik: wykonanie planu... — objaśniła przewodnicząca Rady Zakładowej w Zakładach Płyt Pilsniowych IRENA GOŁĘBIEWSKA (patrz — pierwsza z lewej na zdjęciu), podkreślając, że decyzji nigdy nie podejmuje się jednoosobowo, tylko po kolektywnych usgodnieniach.

Początek roku niesie ze sobą mnóstwo pracy. Trzeba astawieć i rozkręcić robotę. Rada, żyjąc na co dzień sprawami załogi, żyje sprawami zakładu. Bo jakżeby inaczej.

A. B.

**O PRZYGOTOWANIACH DO WIELKIEGO REJSU SOLO NON STOP DOOKOŁA ŚWIATA**

**ŻYCIĘ**

rozmawia z jachtowym kapitanem żegluga wielkiej HENRYKIEM JASKULĄ

lach była bardziej przekonywająca, niż wydumana w wygodnym, ciepłym i suchym pokoju. A pojęcie samotności, o której wspominałeś, dla mnie nie istnieje. Sądze, że tylko człowiek nudny, o ubogim wnętrzu, nudzi się ze sobą, nie może obejść się bez towarzysztwa.

— Zawsze gorąco zaprzeczasz, gdy mówi się o wielkiej odwadze, potrzebnej do podjęcia decyzji o takim rejsie. Nie lubisz też wspominać o ryzyku, które niewątpliwie istnieje. Czy nie ma w tym odrobiny żeglarskiej pyzy?

**H. J.:** — Absolutnie nie. Nie sądze bowiem, że to co zamierzam uczynić stanowi dowód odwagi, przynajmniej dla kogoś, kto opłynął już Horn. Odwaga jest iść w niewiadome. A ryzyko? Jestem przekonany, że to co ma się stać pod polską banderą nie należy określać jako ryzyko, lecz jako zaszczyt. Chciałbym więc „odbohateryzować” ten rejs...

— Jak więc jest jego główny cel, oprócz wyczynu a charakterze sportowym?

**H. J.:** — Sądze, że minął dla polskich żagli okres zdobywania oceanów, a nadchodzi czas ich uprawiania. Po prostu polska bandera żeglarska ma powieść na wszystkich oceanach, bowiem żeglarstwo ma się tak do żegluga handlowej i rybołówstwa morskiego, jak szkoła podstawowa do politechniki. Jeżeli każdy młody człowiek będzie mógł poznać morze poprzez uprawianie żeglarstwa, nasza stała rozbudowująca się flota handlowa i rybacka będzie miała zapewniony dopływ ludzi, którzy pójda do tej pracy z zamiłowaniem i znajomością środowiska, ludzi wyselekcjono-

wanych i świadomych. A morze — to wielka przyszłość dla gospodarstwa naszego kraju... Dążymy celem tego rejsu jest zdobyć dla Przemysła jachtu pełnomorskiego, na który już teraz czeka w tym mieście czterystu młodych ludzi.

— Na jakim etapie znajdują się obecnie przygotowania organizacyjne do rejsu, gdyż wiadomo, że czasami łatwiej jest dokonać wielkiego wyczynu, niż pokonać bariery administracyjnego działania...

**H. J.:** — Przygotowania idą pełną parą. Patronat honorowy nad wyprawą objął wojewoda przemyski Zdzisław Cichoński, a kierownictwo utworzonego już komitetu organizacyjnego spoczywa w rękach wicewojewody Mariana Grendysy. W listopadzie ub. roku Stocznia Jachtowa im. Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku-Stogach przystąpiła do budowy jachtu. Będzie to jednostka drewniana typu Conrad-45 zmodernizowany, bardzo zbliżona do znanego jachtu „Copernicus”, mającego około 14 metrów długości i 30 metrów kwadratowych powierzchnię ozoglowania. Jacht ma być gotowy w lipcu br. Nadzorowanie budowy oraz kompletowanie wyposażenia i sprzętu pochłania najwięcej energii i czasu. Dużą pomoc okazuje mi w tym padekku dyrekcja Zakładu Inwestycji i Budownictwa, w którym pracuję, z dyrektorem Janem Krukiem na czele.

— Na życzenia pomyslnych wiatrów będzie jeszcze sporo czasu i okazji. Będziemy bowiem na naszych łamach informować na bieżąco o wszystkim, co związane jest z rejsiem. A na razie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **JAN MISZCZAK**

**WYBIERAMY PRZEMYSŁANINA ROKU**



**JESTEM W SWOIM ŻYWIOLU...**



więc spraw różnego kalibru nie brakowało.

W 1968 r. wstąpiła do partii. Z początkiem lat 70 znajdowała się już w składzie plenum KM PZPR, a od r. 1975 jest członkiem Egzekutywy.

W roku 1970, obdarzona zaufaniem załogi, w dowód uznania wybrana zostaje sekretarzem Rady Zakładowej, a w roku 1976 obejmuje jej kierownictwo.

Dynamiczna, aktywna, gnana potrzebą nieustannego działania udziela się w TPRP, ORMO, PCK, LOK i Lidze Kobiet. — Jestem w swoim żywiole — powiada. — Czuję się potrzebna i cieszę mnie każdy, choćby najmniejszy sukces. Społecznikiem trzeba się urodzić, trzeba mieć w sobie tę żyłkę. Odkryłam swoje predyspozycje w roku 1946 w organizacjach młodzieżowych. Sentyment do młodych pozostał do dziś. Lubię z nimi współpracować... A jeśli idzie o Radę Zakładową, to cieszę się, że ludzie właśnie tu przychodzą z tym co ich gnębi, a nie idą prosto do dyrekcji. To satysfakcja, że mają do nas zaufanie. Cieszę mnie, gdy zdobywamy puchar, odnosimy zwycięstwa. Niech to będzie międzyzakładowy turniej piłki nożnej czy konkurs na najlepszy zakład patronacki.

Miniony rok 1977 przyniósł mi wpis do „Księgi zasłużonych dla miasta Przemysła” oraz miano „Zasłużonego pracownika PZZ”. To zobowiązuje.

A. B.

Kłopotce się zatem o lekarza przemysłowego, i o skierowanie do sanatorium, i o to, by renta przyszła na czas. Nie odmawia również pomocy, gdy przyjdzie zredagować pismo urzędowe lub zwykłe podanie. Bo niby czemu ma nie pomóc. Taka jej służebna rola.

— Trapi nas fluktuacja. Obejmuje ona ludzi młodych. Popracuje taki miesiąc i do widzenia. A przecież źle tu nie mają. I płace godziwe, i warunki socjalne, jak mało gdzie. Rozbudowujemy osiedle, działki pracownicze wspiane, piękna jadalnia i klub świetnie wyposażony (oby tylko pracę ożywił), i kiosk z garmażerką załatwiłmy. Na wczasy jedzie każdy kto tylko chce. A jednak odchodzą. Dziś na przykład do stanu pełnego zatrudnienia brakuje kilkadziesiąt osób, co oznacza, że si co są — muszą popracować dłużej. I to jest problem pierwszorzędny do rozwiązania — głośno myśli przewodnicząca.

Przyszła do ZPP w 1963 roku. Pracowała na stanowisku brakarza, a że niespokojny duch w niej siedzi i bierna być nie potrafi — od razu włączyła się w nurt działalności związkowej. W trzy lata później była już członkiem Rady Zakładowej. Referowała także postulaty załogi na forum Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. ZPP wówczas się rozbudowywały,

A. B.

# Z DZIEJÓW T P N

Jak już informowaliśmy, zainicjowana w roku 1976 przez Wojewódzkie Archiwum Państwowe cykl imprez mająca na celu przybliżenie współczesnym historii i dziejów najdawniejszych, odbywająca się pod wspólną nazwą „piątki archiwalne”, jesienią 1977 roku przybrała nową formę i obecnie polega na konfrontacji archiwalnych dokumentów z pamięcią bohaterów zdarzeń.

Zainauguowała tę nową edycję „piątek” mgr **Olga Skorska**, organizatorka tajnego nauczania w Przemyślu. WAP posiada bodaj najbogatsze zbiory dokumentów z tego zakresu. Przypomniame niektóre z nich podczas listopadowego spotkania, na które przybyły m. in. dwie uczestniczki tajnych kompletów. Doszły zatem osobiste wspomnienia, które ożywiły ten wieczór.

W grudniu uwagę przybyłych zaprzął długoletni działacz i skrupulatny kronikarz Towarzystwa Dramatycznego „Fredrum”, mgr **Zygmunt Felezyński**, a że dobry z niego gawędziarz, z zainteresowaniem słuchano o najstarszym teatrze amatorskim, który wkroczył już w 108 rok działalności.

Na styczniowe spotkanie (20 bm. o godz. 18 w WAP) zaproszono doc. **dra Franciszka Persowskiego** — honorowego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Powstałe w 1909 r. w Przemyślu TPN było wówczas drugim, obok plockiego, działającym w powiatowym mieście. Miało na celu podtrzymanie tradycji kulturalnych starożytności, gromadzenie eksponatów muzealnych i zasobów bibliotecznych. Jego stanem ukazało się przed wojną 8 tomów Rocznika Przemyskiego.

— **Katastrofa wojenna** rozbiła również działalność Towarzystwa. Ciężko było się pozbierać po wyzwoleniu. Nastąpił kilkuletni zastój przerywany dorywczymi sesjami, jak np. z okazji otwarcia Archiwum. Był czas, że zawisła nad nami groźba likwidacji. Na szczęście do niej nie doszło. Ponownie ożywienie działalności TPN nastąpiło w roku 1957. Otrzymałyśmy fundusze, które pozwoliły podjąć samodzielne badania naukowe (głównie z zakresu nauk społecznych), nawiązać kontakty z ośrodkami uniwersyteckimi. Zarząd zjednął sobie wybitnych naukowców, których prelekcje wniosły ożywczy powiew. Wewnętrzne zmiany organizacyjne, powołanie nowych sekcji odbiły się korzystnie na zawartości wydanego w 1965 roku X tomu Rocznika (tom IX ukazał się w roku 1958). Otwierał on swe łamy również dla autorów zaprzemyskich.

Cenną inicjatywą Towarzystwa jest wydawanie zwartych prac w formie „Biblioteki Przemyskiej”, organizowanie sesji naukowych, cyklicznych prelekcji popularnonaukowych, nawiązanie i rozwinięcie współpracy z innymi towarzystwami o charakterze ogólnopolskim... — wspomina doc. Persowski.

Prezesowa! Towarzystwo do roku 1976; kiedy to przekazał rząd w ręce mgr inż. **Michała Kryczki**. Pozostał wszelkie honorarium prezesem w dowód uznania za niemal liczące już pół wieku związki z TPN. Absorbuje go zbliżający się jubileusz 70-letnia Towarzystwa, który przypada na rok 1979.

**D**UZA sala sądu zapelniona po ostatnie miejsce. Takiego zainteresowania rozprawą nie notowano tu już dawno. Cemu to przypisać.

Patrząc z dziennikarskiej ławy po twarzach przybyłych dostrzegam wielu znajomych: ten ma Fiata 132, siedzący obok inżynier kupił ostatnio Fiata 125, grupa młodych ludzi pod oknem — to znajomi właściciele Fiatów 126p, jest też taksówkarz z wysłużonej warszawy. W sumie — sami właściciele czterech kółek, łącznie ze mną. Zastanawiam się czyim jeżdżą sędzia i panowie ławnicy. A oskarżyciel publiczny? Nie jest to przecież bez znaczenia dla toczącej się sprawy. Jeśli ma malucha i to takiego, w którym stale coś nie gra, będzie żądał wysokiej kary. No cóż, sąd ma być bezstronny, ale człowiek jest człowiekiem i w każdej sprawie mniej lub więcej się emocjonuje.

Woźny wyprasza na korytarz świadków, będą mogli pozostać na sali dopiero po złożeniu zeznań. Ucisza się gwar rozmów, wchodzi Wysoki Sąd.

Wystąpienie oskarżyciela publicznego nie było długie, prawdopodobnie Fiata 126p jeszcze się nie dorobił, lepiej to dla strony oskarżonej — „Polmozbyt”, ale i tak w jego mowie nie brakowało ostrych sformułowań. Sens przemówienia był mniej więcej taki: przemyska Stacja Obsługi nr 13 przy ul. Zana, jako przedsiębiorstwo usługowe, nie spełnia należycie swojej roli, dopuściła się w stosunku do klientów wielu zaniedbań, naraziła ich na straty, poderwała zaufanie obywateli do firmy jako całości.

Sąd zarządza przesłuchanie świadków. Notuję zeznania obywatela Antoniego K.:

— Pojechałem do stacji do przeglądu. Postawiłem samochód, a sam poszedłem do poczekalni, skąd można oglądać, co robią mechanicy. W dziale sprzedaży kupiłem zapasowe żarówki za 200 zł i, aby nie trzymać ich w ręku, włożyłem przy mechanikach do bagażnika. Kiedy odbierałem wóz zająłem do wnętrza i widzę, że pudełko z żarówkami nie ma. Zacząłem domagać się zwrotu. Pokazano mi instrukcję, w której napisano, że za częścią pozostawioną w samochodzie „Polmozbyt” nie odpowiada.

Niedługo po tym wydarzeniu miałem małą kraksę, trzeba było wymienić błotnik i ewentualnie ściankę. Samochód miał być gotowy za cztery dni, zrobiono go po dwunastu, ale nie o to chodzi. Przed odbiorem każą mi uregulować rachunek, idę więc do kasy, a tu mi mówią: należy się 5200 złotych. Zdębiałem, Patrzę, a w rachunku jak wół pisze: konserwacja wozu za 1580 złotych! O nie takiego nie prosiłem. Idę do samochodu, biorę ucziwego majstra i pytam: jaka konserwacja? Przyznał, że nie było żadnej. Przeprosił mnie w kase i rachunek zmniejszyli o tę kwotę. Zapłaciłem, idę odebrać malucha, a tu nie ma na nim emblematu. Pytam: gdzie się podział? Nikt nie wie, ale jakiś młody mechanik, poszedł do innego wozu czekającego na przegląd, albo naprawę, oderwał, jak to się mówi: na chłama, emblemat i przypiął do mego. Wyjechałem ze stacji patrząc jednak jeszcze raz na rachunek, a tam dołączona specyfikacja, w której pisze, że zapłaciłem za zużycie 15 kilogramów bityksu i 7 litrów benzyny. Wróciłem do kasy. Przeprosili, ale powiedzieli, że pieniądze już mi nie mogą zwrócić, bo zaksięgowane. Muszę pisać do Rzeszowa. Nie zgodziłem się, kazano mi więc przyjechać za kilka dni. Chodziłem tak trzy tygodnie, ażeby odebrać wyludzone ponad 600 złotych. Gdybym się nie spostrzegł, firma by mi ich nie zwróciła.

Mówi drugi świadek, obywatel Jan L.:

— „Oddałem do przeglądu Fiata 125. Po jego odbiorze okazało się, że wymieniono w gazniku dyszę nową na starą i przejechano samochodem (bez mego pozwolenia i wyrażonej ku temu potrzeby) 20 km. Po mojej interwencji w dyrekcji „Polmozbyt” w Rzeszowie wyrównano mi straty w wysokości 320 złotych.

— Bylem jednym z pierwszych klientów nowo otwartej stacji przy ul. Zana, dałem samochód do przeglądu gwarancyjnego. Wy mieniono mi olej, lecz zapomniano zakreślić korek wlewu. Spostrzegłem, że coś nie jest w porządku dopiero w Przeworsku, gdy samochód stał już w kłębach oparów, miska olejowa była pusta i niewiele brakowało do zniszczenia silnika, a nawet pożaru.

— W nowo kupionym Fiacie 125p, którym w ogóle nie jeździłem, nie licząc przyjazdu do domu, wysiadł akumulator. Wyjazd z garażu jest tak usytuowany, że samochodu nie wyciągnie przy pomocy innego pojazdu, nie można go również wypchać z uwagi na spadzisty teren. Udałem się więc do stacji z prośbą o wymianę akumulatora w ramach gwarancji. Tłumaczyłem, wyjaśniałem pracownikom co i jak, nie pomogło, poszedłem do kierownika, zrozumiał moja sytuację, kazał wydać akumulator na książeczkę gwarancyjną. Stało się jednak inaczej — kierownik swoje, a pracownik swoje. Ostatecznie kupiłem akumulator za własne pieniądze (812 zł), wziąłem rachunek od taksówkarza za

przejechano samochodem (bez mego pozwolenia i wyrażonej ku temu potrzeby) 20 km. Po mojej interwencji w dyrekcji „Polmozbyt” w Rzeszowie wyrównano mi straty w wysokości 320 złotych.

— Bylem jednym z pierwszych klientów nowo otwartej stacji przy ul. Zana, dałem samochód do przeglądu gwarancyjnego. Wy mieniono mi olej, lecz zapomniano zakreślić korek wlewu. Spostrzegłem, że coś nie jest w porządku dopiero w Przeworsku, gdy samochód stał już w kłębach oparów, miska olejowa była pusta i niewiele brakowało do zniszczenia silnika, a nawet pożaru.

— W nowo kupionym Fiacie 125p, którym w ogóle nie jeździłem, nie licząc przyjazdu do domu, wysiadł akumulator. Wyjazd z garażu jest tak usytuowany,

że samochodu nie wyciągnie przy pomocy innego pojazdu, nie można go również wypchać z uwagi na spadzisty teren. Udałem się więc do stacji z prośbą o wymianę akumulatora w ramach gwarancji. Tłumaczyłem, wyjaśniałem pracownikom co i jak, nie pomogło, poszedłem do kierownika, zrozumiał moja sytuację, kazał wydać akumulator na książeczkę gwarancyjną. Stało się jednak inaczej — kierownik swoje, a pracownik swoje. Ostatecznie kupiłem akumulator za własne pieniądze (812 zł), wziąłem rachunek od taksówkarza za

przewiezienie i będę dochodził swoich praw. Myślę, że wygram.

— Bylem w lecie bieżącego roku świadkiem takiego zajścia: samochód ciężarowy przyholował pod stację skodę obywatela NRD, który wracał z Bulgarii. Podchodzi kierowca ciężarówki i prosi mechaników: pomoście chłopcy temu Niemcowi, w drodze jest, zmęczony. Odpowiedź była następująca: a nas co to obchodzi, swoich mamy dosyć! Co my z tego będziemy mieli? Na to kierowca zareplikował: a ja co mam z tego, że hołuje. Nie człowiek? A jak mnie się coś takiego stanie w drodze?

Kiedy opuściłem stację, widziałem jak kierowca ciężarówki majstrował koło silnika skody pod laskawo dyktando mechaników, sami do roboty pałca nie dokładali.

— Tarło mnie coś w tyle malucha. Pojechałem do stacji.

— Oskarżyciel prosi Wysoki Sąd o przesłuchanie dodatkowego świadka na okoliczność spadku zaufania posiadaczy samochodów do przemyskiej stacji. Jest nim, jak się okazuje, mój kolega po piórze. Oto jego zeznanie:

— 5 grudnia 1977 roku dzwoniłem do Działu Obsługi Klientów „Polmozbyt” w Rzeszowie. Powiedziano mi: dwie trzecie nabywców nowych samochodów Fiat 125 i Fiat 126p przyjeżdża

Była godzina dwunasta, powiedziano mi więc: dziś nie warto zaczynać, niech pan przyjdzie jutro w południe, będzie wszystko o key! Przyszedłem, okazało się, że samochód ponoć zrobiony, tylko kluczyki zaginęły, na moje szczęście znalazły się. Wyjechałem na ulicę, słucham — trze. Szlag mnie trafił, pojechałem do prywatnego, za godzinę było po robocie i kosztowało grosze.

— Zepsuła mi się klamka od szyby we Fiacie 126p. Pojechałem do nich raz, nie mieli, pojechałem drugi — to samo. Kiedy zacząłem mówić, że to nie tak, to mi poradzono: zostaw pan samochód na dwa tygodnie, to się zrobi.

Przestaję już notować. Wszystkiego się powtarza, sąd ma już wyrobiony pogląd i słucha z obowiązkiem, natomiast reakcja sali jest nadzwyczajna — jakby ktoś kryminały opowiadał. Przewodniczący musi uciszać zmotoryzowane bractwo.

Oskarżyciel prosi Wysoki Sąd o przesłuchanie dodatkowego świadka na okoliczność spadku zaufania posiadaczy samochodów do przemyskiej stacji. Jest nim, jak się okazuje, mój kolega po piórze. Oto jego zeznanie:

— 5 grudnia 1977 roku dzwoniłem do Działu Obsługi Klientów „Polmozbyt” w Rzeszowie. Powiedziano mi: dwie trzecie nabywców nowych samochodów Fiat 125 i Fiat 126p przyjeżdża

Okres zimowy, kiedy w stacji spokojnie, wykorzystujemy na szkolenie, konsolidację zespołów i brygad naprawczych. Wprowadziliśmy zmianę systemu wynagradzania pracowników bezpośrednio produkcyjnych z dniówkowo-premiowego na system prowizyjny. Dzięki temu będziemy realizować zasadę: „płaca za rzeczywiście wykonaną pracę”, skracać czas trwania naprawy, poprawiać jakość usług, stosować regulaminową zasadę niepobierania opłat za wadliwie wykonaną robotę...”

Odwracam się na chwilę ku sali. Widzę, że publiczność jest usatysfakcjonowana, że przedstawiciel firmy utrafił w sedno. Przemyskim samochodziarom nie tyle już dziś chodzi o to, jak ukarano tego czy owego nieuczciwego pracownika stacji, lecz jak będzie z usługami w przyszłości, czy można będzie oddać samochód bez obawy, że ktoś wymieni w nim części, że to i owo ukradnie.

— „...niektórzy nasi klienci nie są zadowoleni, że nie puszcza się ich do warsztatu, lecz radzimy im oglądać wóz na monitorze w poczekalni. Nie rozumieją, że kierownictwo działa w ich interesie, staramy się przez to skrócić nie ewidencjonowane dopłaty do usług (inaczej mówiąc: dziękiinne dary — przyp. autora), a także stosowanie różnie w obsłudze klientów i montowaniu części do ich samochodów wedle zasady: lepsze znajomym i znającym się na rzeczy, gorsze frajerom”.

Przedstawiciel „Polmozbyt” kończy. Czeka chwilę na pytania. Milczenie. Wysoki Sąd, ogłasza przerwę i udaje się na naradę, za piętnaście minut ogłosi wyrok.

ZBIGNIEW ZIEMBOLEWSKI

Jest to reportaż z rozprawy, której nie było, niestety... (zjb)

## „POLMOZBYT” NA ŁAWIE OSKARŻYWCY



JESIEN

NIE MUSI BYĆ SMUTNA

# NAJLEPIEJ CZUJE SIĘ W AKRYLU



Gdyby 15 grudnia 1585 roku szlachta polska nie oddała berła w ręce Anny Jagiellonki i nie przeznaczyła jej na męża Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodu, którego również obdarzyła godnością królewską (zostali wspólnie obrani na tron) — być może nie pisałbym dziś o pasji malarskiej pani Jadwigi...

### LEGENDA RODZINNA

W kolejańskiej rodzinie asesora Batorego (a liczna to była rodzinka: ojciec, matka i sześcioro dzieci) zawsze powtarzano przekazy przodków o polskiej linii sławnego rodu. Podobno kiedyś, przed wielu laty, doszło nawet do małżeństwa między kuzynami, po to tylko, by łatwiej było odszukać zakopane rzekomo w Jaktorowie stare dokumenty (właśnie kuzynka mieszkała w tej podwarszawskiej miejscowości, a kuzyn zapragnął bez przeszkód pogrzać się w należącej do niej ogrodzie). Niczego wprawdzie nie odnaleziono, ale legenda przetrwała...

### KOLEJNY WĘGIERSKI AKCENT W ŻYCIORYSIE

Szkolę powszechną ukończyła pani Jadwiga w Warszawie przy ul. Szerokiej, później wstąpiła do prywatnego

gimnazjum na Kępczej. Od najmłodszych lat miała zdolności plastyczne. Wszyscy podziwiali pięknie przez nią haftowane pejzaże. Wrodzone zdolności musiały jednak ustąpić miejsca praktycznemu zmysłowi rodziców. — Musisz zdobyć zawód, który zapewni ci przyszłość. — Tak wówczas podchodzono do tych spraw.

Nie, nie ma pani Jadwiga pretensji do rodziców, że skierowali jej kroki do warszawskiej Szkoły Położnych. Chcieli po prostu dla niej jak najlepiej...

Dyplom zdobyła w r. 1933, pierwszą pracę podjęła w szpitalu klinicznym przy Karowej.

A gdzie zapowiedziany kolejny węgierski akcent? Jest, a jakże — Jadwiga Batorówna poznała kolegę uniwersyteckiego swego brata i w niedługim czasie stanęła z nim

na ślubnym kobiercu w kościele św. Floriana. Był z pochodzenia Węgrem, na co zresztą bezbłędnie wskazuje nazwisko, które odtąd pani Jadwiga nosi: Czaki.

### CIĄG DALSZY BIOGRAFII

Powstanie zastało ją w Piotrowie. Tam, z pełnym oddaniem, pełniła swoje obowiązki zawodowe. Do czasu... Rysy twarzy męża wydały się bowiem hitlerowcom semickie. Trzeba było uciekać. I tak państwo Czaki znaleźli się w Częstochowie, gdzie doczekali wyzolenia.

Do Warszawy nie mieli po co wracać — z mieszkania nie zostało. Wyjechali na Ziemię Zachodnią i osiedli w Kłodzku.

Wtedy nie pracowało się 8 godzin dziennie. Bardzo często trzeba było pełnić swe

obowiązki przez pełną dobę. Obowiązki te zresztą nie zawężyły się jedynie do pracy, którą zwykle wykonuje położna. W szpitalu brakowało lekarzy i innego personelu medycznego, pani Jadwiga była więc tam wszystkim.

Później sytuacja się ustabilizowała; praca stała się lżejsza, choć — jak to w służbie zdrowia bywa — wcale do łatwych nie należała.

25 lat spędziła Jadwiga Czaki w Kłodzku i tam dożyła się emerytury.

### SPEŁNIENIE MARZEŃ

Najstarsza córka państwa Czaki (jedna z trzech w tej rodzinie) wyszła za mąż i od dawna już mieszkała w Przemyslu. Namówiła rodziców do przyjazdu do tego miasta. Usłuchali i tu się zagospodarowali.

Potem kolejne córki wyfrunęły w świat, na studia. Zmarł mąż... Pani Jadwiga pozostała sama. Nie poddała się jednak. Postanowiła znaleźć radę na wszelkie smutki. Zaczęła malować. Ożyła pasja, którą zarzuciła jeszcze w młodości.

I tak od dwu lat w jej życiu dominuje tempera, olej, akryl i akwarela. W tych technikach powstają pejzaże, przeważnie mające swój pierwowzór w pięknych krajobrazach podprzemysłowych. Niektóre z nich powędrowały już nawet za ocean, by krewnym i znajomym przypominać kraj ojczysty.

— Najlepiej czuję się w akrylu. Bardzo dobrze pracuje mi się w tej technice — zwierza się pani Jadwiga.

Fachowcy różnie oceniają te próby malarskie. W jednym są zgodni: amatorskie prace Jadwigi Czaki z upływem czasu stają się coraz bardziej dojrzałsze.

Od niedawna wspólnie z matką znowu mieszka jedna z córek. Wesołej zrobiło się w tym domu pełnym obrazów.

LEONARD CZAJKA

● WOJSKO  
● NAUKA  
● ZAWÓD

## ADRESOWANE DO MATURZYSTÓW

Współczesny oficer jest do wódca wyspecjalizowanym w określonej dziedzinie techniki bojowej, posiada wysokie umiejętności pedagogiczne potrzebne mu w szkoleniu i wychowywaniu podwładnych, jest dobrze zorientowany w zagadnieniach społeczno-politycznych.

Dla młodych energicznych ludzi o rozległych zainteresowaniach, którym odpowiada aktywny tryb życia i urozmaicona ciekawa praca w zespole — zawód oficera daje szerokie możliwości działania.

Nie są to suche i czcze stwierdzenia. Ich prawdziwość potwierdzają ci, którzy zdecydowali się na podjęcie studiów w akademiach wojskowych i wyższych szkołach oficerskich, kształcących wysoko kwalifikowane kadry dowódcze różnych specjalności...

Jest tych uczelni kilkanaście. Informację tę adresujemy do przyszłych maturzystów. Jeżeli imponuje im mundur, jeżeli chcą posiadać wiedzę, której w innych szkołach nie zdobędą — powinni podjąć starania o przyjęcie do którejś z uczelni wojskowych. Na ludzi zdolnych, wartościowych pod względem moralnym i sprawnych fizycznie czekają: Wojskowa Akademia Techniczna, Wojskowa Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Marynarki Wojennej oraz szkoły kształcące kadry oficerskie dla wojsk zmechanizowanych, pancernych, rakietowych i artylerii, obrony przeciwlotniczej, inżynieryjnych, chemicznych, łączności, lotniczych, radiotechnicznych, służby kwatermistrzowskiej i samochodowej.

O trybie przyjmowania kandydatów do akademii wojskowych i wyższych szkół oficerskich dokładne informacje uzyskać można w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Przemyslu i Wojskowej Komendzie Uzupelnień w Jarosławiu.

Warto skorzystać z szansy.



## Spacer po lesie

Alfred G. i Jerzy R. kochają природę. O każdej porze roku najprzyjemniejszym dla nich zajęciem jest spacer po lesie. Spacer jest dość krótki raczej, bowiem dochodzą zwykle do pobliskiej polanki, na której zatrzymują się i urządzają biesiadę. W torbach przynoszą alkohol oraz zakąskę i delektują się, oczywiście, alkoholem.

Od roku Alfred G. jest jednak w gorszej sytuacji, ponieważ ożenił się właśnie i żona nie lubi, gdy on idzie powłóczyć się po lesie, gdyż wie z doświadczenia, że po takiej wędrówce wraca zalany. Żona (Danuta jej jest) twierdzi, że kumpel, Jerzy R., to wyjątkowo zły duch, który wywiera wielce ujemny wpływ na jej małżonka. Jest ponadto zdania, że jeśli się ktoś ożeni, to ma pilnować domu, a nie szukać okazji do wymknięcia się spod jej opiekuńczej skrzydła. Jerzy R. jest kawalerem — przypomina stale Danuta G. — więc niech się nawet powiesi, ale jej mąż ma być porządnym człowiekiem, to

znaczy patrzeć w nią jak w obraz, dawać pieniądze i dbać o podtrzymanie rodu, gdyż rok już wpływa, a dzieci nie widać.

Alfred G. odpowiada zwykle, że co do pieniędzy, to się zgadza, że nocne obowiązki małżeńskie także w miarę swych sił odbębnia, ale żeby mógł to robić lepiej, musi pochodzić po powietrzu i takie jego prawo. Słyszy wówczas, że powietrza ma dosyć wokoło chaty, a w tym lesie to on głównie chleje, zamiast się dotleniać, więc o czym mowa. Na tym ile są oczywiście awantury, których przebieg staje się coraz bardziej niebezpieczny.

W tej samej miejscowości mieszka Józef K., rolnik i wdowiec. Żona umarła mu przy porodzie i został sam jak palec. Gospodarkę ma niezłą, chłop jest do rzeczy, więc dziewczuchy oglądają się za nim, dając do zrozumienia, że

chętnie zastąpiłyby nieboszczkę. On zaś ma chwala Bogu pamięć dobrą i zemie się na razie nie chce.

Któregoś dnia Józef K. spotkał w sklepie GS Alfreda G. i Jerzego R., którzy akurat kupowali litr oraz ser szwajcarski. Spytał ich z jakiej to okazji, a oni na to, że okazji nie ma, ale jest ochota. Więc Józef K. mruknął, że on także ma ochotę, kupił pół litra i wprosił się do towarzystwa. W trójkę poszli w kierunku lasu, jak zwykle na polankę.

Idą sobie, gwarząc wesoło, aż tu nagle zjawia się Danuta G. i z daleka już krzyczy, żeby jej Alfred wracał do domu, bo mu mordę obije i przepędzi w diabły. Mąż przstraszył się na dobre, butelkę cichaczem podał Jerzemu R. i chce wracać, mięczak jeden. Na to odezwał się Józef K.: — Ja to załatwię — powiedział.

Podszedł do rozżalonej kobiety i zaczął jej tłumaczyć, że dziś są jego urodziny i chciałby je spędzić w miłym gronie. Zaprosił więc dwóch kolegów i właśnie idą po żonę Alfreda, czyli po nią, aby zaszczyliła tę uroczystość swoją osobą.

To przemówienie tak bardzo przypadło do gustu Danucie, że zgodziła się chętnie, widząc białe zębiska uśmiechniętego solenizanta. Alfred G. zaś tak zgłupiał, widząc co się dzieje, że rad nierad sam począł

żonę namawiać, aby poszła z nimi.

W czwórce doszli do polanki i natali wódeczkę do szklanek.

— Pani pije pierwsza — rzekł dzentelmen Józef i widać było, że coraz bardziej podoba się tej kobiecie.

Jej mąż natomiast robił wszystko, aby młody wdowiec uwodził jego małżonkę, która dzięki temu nie przeszkadzała mu w picciu gorzałki. Pomagał jednak nie musiał, bo żonka i tak co chwilę typala na Józefa K. i piła szklankę po szklance, choć z zasady była abstynentką.

Co to są trzy flaszki na trzech chłopów i jedną damę? Otóż alkohol skończył się dość szybko i tylko Danuta G. była na mocniejszym rauszu, zaś mężczyznom dopiero teraz wargi zwisły z pragnienia.

Józef K. powiedział wtedy, że jako solenizant stawia jeszcze trzy butelki i podniósł się z ziemi, aby skoczyć po nie do sklepu. Danuta G. na to, że ona chyba pójdzie już do domu, więc niech ją wdowiec przy okazji odprowadzi, bo ma po drodze. Mężowi zaś nakazała, aby najpóźniej za godzinę wracał do chaty, bo urodziny urodzinami, ale on jest moczymorda i ona czyni wyjątek, że w ogóle daje mu jaką taką dyspensę. Następnie wraz z Józefem K. opuściła leśną polankę.

Alfred G. dopiero po chwili wpadł na pomysł, że żona może przygotować zakąskę, którą wziąby — wracając do lasu — Józef K. Ruszył więc biegiem, chcąc dogonić oddalającego się wdowca oraz Danutę i powiedzieć im o tym. Nie ubiegł zbyt wiele, gdy dostrzegł, że idąca przed nim para — zamiast do wsi — skręca w zarośla. Skrył się więc za drzewem, a potem pochylił się i od krzaczka do krzaczka począł skradać się w kierunku tych dwojga.

Gdy po cichu doszedł do nich, ujrzał scenę, której opisywać nie będę, bo podobno dzieci też czytają tę rubrykę, choć nie powinny, a dorośli się domyślą (a jeżeli nie, to im dzieci wytłumaczę).

Skoczył wtedy Alfred G. jak ranny dzik i rzucił się na wiarołomną Danutę krzyknęła przerażona, zaś wdowiec — stając w obronie kobiety — poturbował jej męża tak solidnie, że musiał go potem na plecach nieść do wsi i dzwonić po pogotowie. Teraz sprawa jest w sądzie, z powództwa Alfreda G. oczywiście.

Jeżeli ktoś woli wódkę niż żonę, to powinien już być konsekwentny i wziąć takiego wdowca na ryczałt, na przykład...

JAN M.





Fot. ARCHIWUM

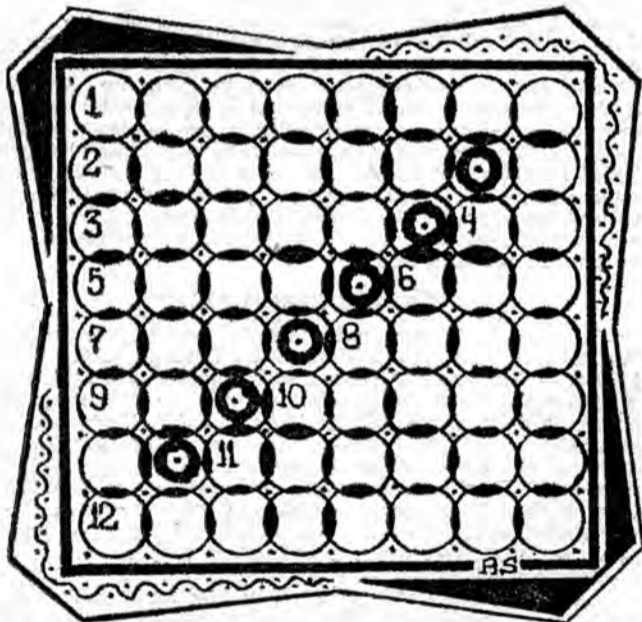
## PRZEMYSKI NIEDŹWIADEK



— Drogi Misiu! Jak dobrze wiesz, w naszych placówkach handlowych nie ma drzwi wahadlowych ani tym bardziej otwieranych przez fotokomórkę. By wejść, trzeba nacisnąć klamkę. Nasi klienci zapominają jednak nagminnie o zamknięciu drzwi. Może Ty, Niedźwiadku, zdołasz ich do tego nakłonić. Nasze grzeczne uwagi i próby nie odnoszą bowiem skutku... — skarżą się sprzedawcy.

## KRZYŻÓWKA MAGICZNA

Znaczenie wyrazów: 1) indyjska epeopeja, 2) rzeka w ZSRR, 3) wyspa cejlońska, 4) papirusowa łódź Heyerdahla, 5) starożytny liczydło, 6) kucharz okrętowy, 7) wąż, parów, 8) pomost spacerowy prowadzący w morze, 9) 100 m kw., 10) święta księga muzułmanów, 11) rycerz legendarny Karola Wielkiego, 12) wąż z rodziny dusiciel.



Termin nadsyłania rozwiązań — **WYŁĄCZNIE NA KARTACH POCZTOWYCH** — dwa tygodnie. Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród książkowych.

### RODZICE CZY KACI?

Wydawałoby się, że w naszych czasach, w wysoko rozwiniętych krajach, bicie dzieci należy do zarzuconych już, starożytnych metod wychowawczych. Tymczasem, jak wynika z opublikowanej w Londynie statystyki, corocznie około 118 dzieci w Wielkiej Brytanii umiera z powodu kar cielesnych, zadanych im przez rodziców. Aż 42 procent ofiar to dzieci poniżej czterech lat, a 20 procent — to niemowlęta.

### Porada dla przestępców

Belgijska policja ma trudny orzech do zgryzienia. W ciągu ostatnich 18 miesięcy, 21 zasadzonych kryminalistów zdołało zbiec. We wszystkich przypadkach w grę wchodziło więźniowie o silnej budowie, którzy po prostu rozrywali zakładane im kajdanki.

Zakupiono w tej sytuacji większą partię nowoczesnych kajdanek w sąsiedniej Francji. Wprawdzie nawet siłacz nie może ich rozzerwać, ale i one mają poważną wadę. Wystarczy zamykający je haczyk włożyć do dziurki od klucza, a kajdanki otworzą się automatycznie w ciągu paru sekund. Policja, zamiast wniesić pretensje do producentów tej „nowości”, oskarża prasę, która opisała ten trick, podsuwając więźniom sposób odzyskania wolności.

### Zbigniew Uchnast

## Z przymrużeniem oka

Najczęściej dobrą minę do złej gry robimy na koncercie.

\*

Pytacie, jaką postawę przyjmował wobec szefa? — Zasadniczą.

\*

Nie trzeba znać się na sztuce kulinarnej, aby kogoś zrobić na szaro.

\*

Ryby nie mają głosu. Za wyjątkiem ryb grubych.

## Jerzy Leszczyński FRASZKI

### LOS CZŁOWIEKA

Wyciąć się nie umiał chyba, jeśli głową naprzód przyszedł na świat, a nogami naprzód go z niego ponieśli.

### MASKA

Vice-lice.

### BEZRADNOŚĆ

Bez rąk trudna rada — nie ma co rozkładać.

### SPRYCIARZE

Robią unik, rzecz prosta, gdy winni po głowach dostać. I chcą jeszcze, by ich chwalić, jakby karku nadstawiali.

### APETYCZNE BABKI

Termin przydatności do spożycia mają także nie do końca życia.

### OGŁOSZENIE

SZKOŁA ŻYCIA ogłasza wpisy dla kandydatów na tysy ch.

### NIE SPOSÓB

Nie sposób zmarszczek się ustrzec, nie przeglądając się w lustrze.

### PLON

ładne kwiatki mają ci, co przesadzają.

### DOBRY SOBIE BOHATER

Gotów rzucić się przez morze, gdy tylko w ojczyźnie gorzej.

### SZCZEGÓLNA ZDOLNOŚĆ

Człowiek potrafi być dwulicowy, choćby do innych spraw nie miał głowy.

### ZASADA

Nie wymusza się pierwszeństwa na drodze do małżeństwa.

## KAŻDY PAPIEROS KOSZTUJE 5,5 MINUTY ŻYCIA

„Palenie papierosów jest wciąż jeszcze tak samo poważną przyczyną śmierci, jak wielkie epidemie w przeszłości”. Taka konkluzja wynika z raportu pt. „Palenie albo zdrowie”, opracowanego przez Królewskie Kolegium (stowarzyszenie) Lekarzy w Wielkiej Brytanii. W kraju tym — jak stwierdza raport — „w 1974 roku 21 400 mężczyzn i 3 750 kobiet w wieku od 35 do 64 lat umarło na skutek palenia. Palacze mają dwukrotnie większą „szansę” zgonu od ataku serca, niż osoby niepalące, a palacze na logowi — aż 3 i półkrotną”.

„Zgony w wyniku palenia są obecnie co najmniej czterokrotnie liczniejsze, niż zgony w wypadkach samochodowych. Ilość tych ostatnich zmniejszyła się wskutek bezpieczniejszych dróg i ostrożnej jazdy. W porównaniu z tym, wysiłki zmierzające do zapobiegania zgonom w wyniku palenia są minimalne. Im wcześniej człowiek zaczyna palić, tym większe jest ryzyko przedwczesnej jego śmierci” — podkreśla raport.

Ale najbardziej obrazowa część raportu — to obliczenie, o ile skraca się życie ludzkie po wypaleniu jednego papie-

rosa. Powtarzam: jednego papierosa, nie jednej paczki papierosów.

### O pięć i pół minuty.

To znaczy, że ktoś, kto pali 20 papierosów dziennie, skraca życie o 110 minut dziennie, to znaczy o 40 150 minut, to znaczy o 27,8 dnia rocznie. Innymi słowy — co roku „wypada” mu z życia prawie miesiąc.

„Wypada”? Nie! Gorzej! Dosłownie uchodzi z dymem!

BRONZ

